Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Nowiny Tygodnia

Rok IV Rzeszów, 12. 11. 1955 r. Nr 43 (289)

Dziewczyna z gołąbkiem

Rysował J. Wilkoń

Perspektywy plastyki rzeszowskiej

Nie można już dzisiaj powiedzieć, że w rzeszowskiej plastyce nic się nie dzieje. Twierdzenie to da się odnieść zarówno do samych artystów - plastyków jak i społeczeństwa naszego województwa. Zagadnieniami plastyki interesują się coraz bardziej ludzie pracy oraz prezydia rad narodowych.

Na terenie Rzeszowa i województwa rzeszowskiego zanotowaliśmy przypływ młodych artystów-plastyków, wyrosłych przeważnie w rodzinach robotniczych czy na wsi rzeszowskiej, a wychowanych i wykształconych w uczelniach plastycznych w Polsce Ludowej. Dzięki temu plastyka rzeszowska ze stanu stagnacji znalazła się na linii wstępującej i obecnie zarysowuje się już wyraźnie w mieście wojewódzkim Rzeszowie środowisko twórcze.

Wyrazem tego nowego klimatu jaki wytworzył się wokół zagadnień plastyki było spotkanie artystów-plastyków ze społeczeństwem jakie miało miejsce w salach Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, w dniu 6 listopada br. podczas wystawy rzeszowskiej plastyki.

W spotkaniu tym udział wzięli sekretarz KW tow. Zdzisław Kanarek, z-ca kierownika Wydz. Prop. KW tow. Franciszek Grabowski, kierownik wydziału kultury WRN tow. Mieczysław Syta, przewodniczący wojewódzkiej komisji kultury dr Franciszek Błoński, przedstawiciele aktywu kulturalnego naszego miasta i wielu innych.

Ze strony Zarządu Okręgu Związku Art.-Plastyków widzieliśmy prof. Jana Świderskiego, prof. historii sztuki ASP w Krakowie dr Włodzimierza Hodysa oraz liczną grupę biorących udział w wystawie artystów-plastyków.

Tak liczba dyskutantów, jak i śmiałość wypowiedzi pozwalają mniemać, że problemy twórczości plastycznej, zarówno dla przedstawicieli instancji partyjnych jak i przedstawicieli świata pracy, nie są sprawą obojętną. Dlatego można w dalszym ciągu twierdzić, że dyskusja ta stała się fermentem, który przyczyni się do dalszego upowszechniania zagadnień kultury plastycznej na terenie naszego miasta.

Nazajutrz w Wydziale Propagandy KW, konferował z plastykami tow. Grabowski. W zebraniu tym uczestniczyli prawie wszyscy młodzi plastycy z terenu województwa rzeszowskiego. Omówiono wiele aktualnych zagadnień z zakresu twórczości plastycznej i spraw organizacyjnych i bytowych.

W. S.

M. Gabryel — Rużycka. „Portret dziewczynki", Olej.

Danuta Sochacka

U ŹRÓDEŁ ŚWIETLICOWYCH NIEPOWODZEŃ

Co roku u progu zimy rozpoczynają się ożywione dyskusje wokół spraw świetlicowych. Nic w tym dziwnego: właśnie o tej porze, późną jesienią i zimą świetlica na wsi i w małym miasteczku nabiera szczególnego znaczenia. I dziś wracamy do świetlicowych rozmów.

Są świetlice dobre, podobnie jak istnieją wsie i miasteczka, gdzie życie kulturalne pulsuje mocnym, żywym rytmem. Ale jest ich wciąż jeszcze niewiele. W większości, w ogromnej większości wypadków świetlica żyje od akcji do akcji, od imprezy do imprezy, od żebrania do żebrania. Mało mamy świetlic, które poszczycić się mogą ciągłością pracy, które naprawdę, na codzień, przyciągają w swoje progi młodzież i starszych, w których naprawdę — tak jak tego pragniemy — koncentruje się życie wsi. I nie wolno nam uspokajać się wiecznym porównywaniem aktualnego stanu z okresem przedwojennym. „Tu był dwór obszarniczy — dziś świetlica! W tym powiecie nie było ani jednej świetlicy — dziś jest ich dziesięć!" Te słuszne stwierdzenia — będące wyrazem głębokiej rewolucji społecznej i kulturalnej, jaka dokonała się w naszym kraju — nie powinny nam przesłaniać faktu, że bardzo znaczna część świetlic wiejskich (bo o nich tu tylko będziemy mówić) przeżywa kryzys, że na wielu odcinkach pracy kulturalno-oświatowej na wsi — pracy koncentrującej się właśnie w świetlicy — od lat kilku drepcemy na miejscu.

SCHEMAT I FORMALIZM

Przyczyn, które składają się na kryzys wiejskiej świetlicy, jest wiele. Są wśród nich bardziej i mniej zasadnicze, ważne i drobne. Najważniejszą wydaje się ubóstwo form pracy świetlicowej, skostnienie tych form w pewnych, z góry zaleconych szablonach.

Operowanie wciąż tymi samymi pomysłami, tymi samymi argumentami propagandowymi prowadzi do jałowości, do nudy, wypłasza ze świetlicy. Kierownik świetlicy lub zarząd świetlicowy — jeśli taki istnieje — skrępowany jest zaleceniami, instrukcjami, przeciążony sprawozdawczością. Rzadko zdobywa się na własną inicjatywę, na poszukiwanie świeżych, odkrywczych form. Często lęka się ich. Nuda przeżera nie tylko działalność oświatową świetlicy, kurczącą się zresztą do niepokojąco małych rozmiarów, ale przenika i do działalności artystycznej.

Walczyć z nudą, z jałowym schematem, z formalizmem w pracy świetlicowej, znaleźć indywidualne podejście, indywidualne formy pracy i jej odrębną treść dla każdego środowiska, uwzględniać zainteresowania tego środowiska, jego tradycje i obyczaje, jego potrzeby i charakter — oto sprawy najważniejsze. Na niedawnej naradzie aparatu kulturalno-oświatowego rad narodowych minister Sokorski mówił o konieczności „wyzwolenia twórczej indywidualności pracowników kulturalno-oświatowych, o konieczności samodzielnego indywidualnego myślenia, wyzwolenia się z pęt świetlicowego „schematyzmu". Są to uwagi bardzo słuszne. Ale w związku z nimi wyrasta przed nami drugi, kluczowy problem świetlicy.

Pomoc i zainteresowanie

Czy owo „odbiurokratyzowanie" działalności świetlicowej oznacza „puszczenie jej na żywioł", pozbawienie jej opieki i stałego wglądu? Nie, wręcz odwrotnie, wymaga zwiększenia pomocy i opieki nad wiejską świetlicą, nad jej kierownikiem. Musimy pamiętać, że spora część naszych kierowników świetlic, to ludzie niedostatecznie przygotowani, niedostatecznie wykształceni. Nowy styl pracy wymaga stałego ich doszkalania.

Potrzebna jest opieka i pomoc, inna jednak niż dotąd, wyrażająca się nie w komenderowaniu, lecz w życzliwym, mądrym doradzaniu, w delikatnym a przemyślanym kierowaniu każdej świetlicy na jej własne drogi. Sprawa nie ruszy naprzód bez kadry dobrych instruktorów, docierających do każdej świetlicy, bez kadr pracowników znających dobrze specyfikę pracy świetlicowej. To znaczy bez dobrze pracującego aparatu kulturalno-oświatowego rad narodowych. Czy jednak aparat ten daje gwarancję pełnego i dobrego wypełnienia tych nowych i niełatwych zadań? Niestety, nie zawsze.

Mimo uchwały Prezydium Rządu, mówiącej o **konieczności postawienia spraw kultury w centrum zainteresowania rad narodowych, o konieczności stałego podnoszenia poziomu i wzmacniania kadr pracowników kulturalno-oświatowych, sytuacja nie uległa zasadniczej zmianie na lepsze.** Odbyło się wiele ciekawych sesji rad narodowych, powzięto wiele słusznych uchwał, ale „gdzieś w powiecie" wszystko na ogół wygląda po staremu.

Na instruktorów, na bibliotekarzy, ba, na wyższe nawet stanowiska, angażuje się często jeszcze ludzi nieprzydatnych do niczego innego, nieprzydatnych i do tej pracy.

Powiatowe Rady Narodowe niewiele sobie robią ze spraw działalności kulturalno-oświatowej, zaś pracownicy i członkowie gromadzkich rad nie są po prostu w stanie udzielić świetlicy pomocy, nie znając jej problemów i zadań, często nie rozumiejąc ich. Pomoc materialna pozostawia także wiele do życzenia: wiadomości o walących się pomieszczeniach bibliotecznych i świetlicowych, o braku opału, o zamykaniu budynków świetlicowych — nadchodzą zbyt często z całego województwa.

Niekorzystnie odbija się na pracy wiejskich świetlic, pogłębia ich kryzys, m. in. brak koordynacji wysiłków instytucji i organizacji prowadzących w terenie działalność świetlicową. Prowadzi on do marnotrawstwa sił i środków, a co gorsza, stwarza nieraz niezdrową konkurencję, w żałosny sposób odbijającą się na życiu kulturalnym wsi.

Warto podkreślić raz jeszcze — walka z kryzysem w pracy świetlic — to walka z nudą, schematem, formalizmem. To konieczność wzmocnienia aparatu kulturalno - oświatowego, który może i powinien pokierować — troskliwie i wnikliwie — życiem kulturalnym wsi. Nowa, żywa, bogata w indywidualną treść praca świetlicowa przyciągnie tych, których chcemy wychować, pomoże nam kształtować ludzkie umysły, ludzkie serca i charaktery. **Nie wolno jednak odsuwać spraw tych na dalszy plan, traktować spraw zbliżenia ludzi do sztuki i oświaty jako spraw luksusu.**

„Sztuka nie jest cackiem, które bawi... razem z nauką tworzy dwa skrzydła, za pomocą których ludzkość wznosi się coraz wyżej..." — powiedział kiedyś — jakże głęboko słusznie — Bolesław Prus.

Danuta Sochacka

Dr Stanisław Peters

Początki państwa polskiego w nowym świetle

W okresie międzywojennym przyjmowało się za pewnik niewzruszony lata 963—65 jako datę powstania państwa polskiego. Uzasadnieniem miało być pojawienie się po raz pierwszy imienia Mieszka I w zapiskach kronikarskich („Mesco dux Poloniae babtisatur", „Dubravca ad Mesconem venit"). Historiografia Polski Ludowej wysunęła w swych badaniach jako czołowe zagadnienie rewizję tego poglądu, przesuwając datę powstania państwa polskiego w głąb dziejów.

Powstanie społeczeństwa klasowego a wraz z nim pierwszych organizmów państwowych jest ciągle jeszcze słabo naświetlone ze względu na małą ilość źródeł. Zabytki pisane wspominają o tych państewkach dopiero wtedy, gdy weszły one już w pewne kontakty z obcymi państwami, a więc gdy były już ukształtowane.

Kiedy można mówić o powstaniu klas społecznych w Polsce? Dzisiaj jest rzeczą pewną, że już przed drugą połową IX wieku powstają zalążki klasy feudałów i klasy ludzi od nich zależnych. Zarodkiem klasy feudałów była na naszych ziemiach starszyzna opolna bogacąca się kosztem niewolnych, których zdobywano w walkach lub uzyskiwano ze sprzedaży za długi. Mając do swej dyspozycji nadwyżki zbożowe i narzędzia mogła klasa feudalna pożyczać je uboższym sąsiadom za pracę. Przy pomocy czeladzi niewolnej i ludności zależnej starszyzna opolna obejmuje w posiadanie coraz nowe nieużytki lub uzyskuje nowe połacie pól po wypaleniu lasów. W ten sposób rodziła się własność ziemska będąca podstawą ustroju feudalnego mającego na długie wieki zaciążyć nad polską rzeczywistością.

Najlepszym jednak świadectwem rodzących się przeciwieństw klasowych, w których ogniu rodziły się początki państwowości, są grodziska z wieków VII do IX. Były to wówczas warowne rezydencje wielmożów mające na celu trzymanie ludności w posłuchu. Dawniej próbowano udowadniać, że grodziska te były budowane z myślą o stworzeniu ochrony dla ludności przed napadami wrogów. Przeczą jednak temu zbyt małe wymiary tych grodzisk nie mogące żadną miarą pomieścić większej liczby ludzi.

Ważnym odcinkiem prac nad ustaleniem początków państwa polskiego są źródła starożytne: orientalne, bizantyńskie i łacińskie. Ze względu na duże braki w tej dziedzinie w pracowniach naukowców przygotowano wiele źródeł tego typu do druku np. z orientalnych takie pozycje jak al-Ahtal, al-Hwarizmi, al-Fargani, Ibn-Qutajba, Ibn-Hordadbah, al-Gahiz, al-Jaqubi, al-Galaduri. Są to teksty oryginalne w języku arabskim, tłumaczenia polskie, obszerne komentarze historyczne i rzeczowe oraz tłumaczenia w języku łacińskim.

Ze źródeł bizantyńskich wzięto pod uwagę m. in. Prokopa z Cezarei, Menandra, Agathiasa, Theofilactesa, Simiccatesa, Pseudo-Maurycego, Theophanesa, Leona VI Mądrego, Porphyrogenetę, Laonikosa, Chalkokondylasa Ioannesa Kineamosa.

Jednym z najważniejszych źródeł dla poznania pradziejów Polski jest tzw. Geograf Bawarski, który podaje wykaz państewek polskich z połowy IX wieku. Spośród licznych państewek w okresie formowania się układu feudalnego jedno z nich znajdujące się nad Wartą wzięło na siebie rolę jednoczenia całego obszaru, dokonując tego dzieła w ciągu drugiej połowy X wieku. Uznając więc połowę X wieku za niezwykle ważną historiografia współczesna nie uważa jednak przyjęcia chrztu przez Mieszka I za wyraźną granicę między dziejami plemiennymi i państwowymi, jak to czyniła historiografia burżuazyjnej Polski. W tym przełomowym momencie naszych dziejów mamy inne bardzo istotne momenty, które mówią nam o coraz silniejszym cementowaniu się fundamentów państwa jak ujawnienie się zawiązków miast polskich, jak nową sieć grodów. Z całą pewnością można mówić o Kruszwicy jako ośrodku w VIII wieku, o Gnieźnie z grodem i podgrodziem od VIII wieku, co ma doniosłe znaczenie dla zrozumienia całości procesu państwowotwórczego. Coraz bogatsze wykopaliska archeologiczne pozwalają ustalać daty początku grodów gdańskiego, gieckiego, poznańskiego czy datę przebudowy grodu gnieźnieńskiego.

Ale samo ustalenie pewnych dat to jeszcze nie wszystko. Aby napisać nowy, najstarszy rozdział Polski, o którym mówiliśmy dawniej jako o bajecznym lub legendarnym, trzeba go wypełnić żywą treścią. Liczne zespoły uczonych pracują od kilku lat nad wielu zagadnieniami. Ustalono więc 140 typów osad służebnych w owych czasach (np. Bobrowniki, Cieśle, Piekary). Ciekawe są prace nad siecią drogową w Polsce. W czasie prac terenowych odkopano część drogi wczesnośredniowiecznej w Gieczu, wiodącej poprzez podmokłe tereny lub płytkie i bagniste jeziora. Konstrukcje odkopane pozwalają poznać nieznaną technikę budowy, którą posługiwano się w tych odległych czasach. Zbudowane podwaliny drogi stanowiły rodzaj elastycznego materaca, na którym spoczywały bierwiona nawierzchni.

Sporządzono katalog 206 grodzisk Dolnego Śląska, zawierający ścisłą ich lokalizację na mapach, kształt oraz bibliografię danego obiektu. Pracownia atlasu wczesnohistorycznego ma na celu ustalenie nazw miejscowości, ich zaludnienie, ustalenie podziałów terytorialnych poszczególnych ziem i kasztelanii.

Prace nad badaniem początków państwowości polskiej są w pełnym toku. Angażują one setki uczonych z różnych dziedzin wiedzy. Tak olbrzymia praca może być wykonywana jedynie w warunkach państwa ludowego, które nie szczędzi wydatków, by odsłonić nasze dzieje sprzed 966 roku. Coraz jaśniej rysuje się nam obraz Polski z okresu zwanego dotąd przedhistorycznym lub legendarnym.

Dziś w numerze:

IRENA PITULANKA — „Maturzyści" Z. Skowrońskiego na scenie „Fredreum"

* * *

MARIA WOLAŃSKA — Bracia

* * *

FR. KOTULA — „Wizerunki sprzed stulecia"

* * *

EDMUND GAJEWSKI — „Wiatr nad Rzeszowem"

* * *

T. STANISZ — A co z czytelnictwem na wsi

* * *

J. K. — Ciekawostki mickiewiczowskie

„Maturzyści" Z. Skowrońskiego na scenie „Fredreum"

Kilkumiesięczny ciekawy i pełen sukcesów żywot „MATURZYSTÓW" na scenach polskich, ożywione dyskusje i różnorodne w sądach nad sztuką recenzje świadczą o dużym zainteresowaniu społeczeństwa nową pozycją współczesnej naszej dramaturgii. Powodzenie, jakim cieszy się nowa sztuka dowodzi, że stanowi ona dobrą i potrzebną pozycję repertuarową. O ile w stosunku do wielu jeszcze współczesnych sztuk polskich można użyć określenia „udramatyzowana publicystyka" o tyle sztukę Skowrońskiego uważać należy za wzór „udramatyzowanej publicystyki", w najlepszym tego określenia znaczeniu. Zarówno strona formy dramatycznej „Maturzystów", jak i trafne uchwycenie aktualnego, niezmiernie ważnego problemu — zagadnienie wychowania młodzieży, przedstawiają nieprzeciętną klasę dramatopisarską.

„MATURZYŚCI" Skowrońskiego są śmiałą próbą wytworzenia orientacji w zagadnieniach współczesnego wychowania, zagadnieniach pracy nauczyciela, organizacji ZMP, nad kształtowaniem moralno-ideowego oblicza młodzieży. Sztuka jest rozprawą ze schematyzmem w wychowaniu człowieka, z bezduszną, efekciarską pracą nad młodzieżą wychowawców w rodzaju Paluszkiewicza i niektórych komórek organizacji ZMP.

W inscenizacji „MATURZYSTÓW" w przemyskim „Fredreum" udało się ukazać atmosferę szkoły, atmosferę pokoju nauczycielskiego, w którym rozgrywa się akcja. Ukazano najwyraźniej wzajemne stosunki między nauczycielami, pomiędzy nauczycielami i wychowankami, ukazano antagonizmy, konflikty, sympatie i antypatie, ścieranie się poglądów. Stworzenie szkoły na scenie jest sukcesem reżyserskim A. Wysockiego. Mniej wyraźnie i konsekwentnie wydobyty został problem stosunku nauczycieli do sprawy Biernackiego, do zagadnień pracy ZMP.

Większość postaci nauczycieli zbudowana jest w sztuce głównie na ich wypowiedziach. Do kreacji udanych należy bezsprzecznie prof. Orliński A. Wysockiego. A.

„Maturzyści" Z. Skowrońskiego. Scena zbiorowa.

Wysocki stworzył sylwetkę mądrego, starego pedagoga o bardzo młodym i kochającym sercu, ukazał swą solidarność z dążeniami lepszej części młodzieży, podkreślając serdeczny stosunek do młodych uniknął popadania w małostkowość i ckliwość (zasadzki, jakie kryje w sobie ta rola).

Do rzędu dobrze odczytanych i ukazanych postaci pedagogów należy niewątpliwie postać dyrektora Wolskiego (St. Frankowski). Dyrektor Wolski, to kreacja mocno osadzona w przemyślanym tekście, konsekwentnie przeprowadzona. Frankowski wyraźnie ukazał oblicze dyrektora, pedagoga, najwyraźniej określił swój stosunek do dziejących się w szkole spraw. Do bardzo ładnych epizodów należy rozmowa z Biernackim w III akcie. Scena z zapaleniem uczniowi papierosa — doskonała. Rozmowa z przewodniczącym KR Wójcikiem, scena ataku sercowego zagrana z umiarem — to również szczytowe osiągnięcia tej kreacji. A. Sander potrafił niewdzięcznej trochę może schematycznej w ujęciu autora sylwetce prof. Paluszkiewicza nadać cechy ludzkie. Widz rozumie, że Paluszkiewicz jest wyrazem złego systemu wychowawczego, podobnego do tego, jaki obecnie sam stosuje. Paluszkiewicz chwilami budzi współczucie; Paluszkiewicz Sondera jest człowiekiem zabłąkanym, wymagającym ratunku i pomocy. Prof. Domańska (E. Rzeszutko) ma być kontrastem w stosunku do Paluszkiewicza, jest młoda jak on, jak on jest członkiem partii, lecz w przeciwieństwie do Paluszkiewicza rozumie już dobrze swe zadanie, ma skrystalizowany światopogląd, dobrze pojęta praca pedagogiczna i organizacyjna nie czynią z niej automatu, jakim jest Paluszkiewicz, lecz wzbogacają jej walory duchowe. Domańska ma być młodą, uroczą kobietą i działaczką partyjną. M. Rzeszutko jest najczęściej tylko pedagogiem i sekretarką POP. Prof. Bujak (S. Żółtowski) był głównie antagonistą Paluszkiewicza, za mało pedagogiem. Prof. Woźniakówna (Z. Słupnicka) budzi wiele sprzeciwów. Słupnicka stworzyła typ czterdziestopięcioletniej panny z jakiejś o kilkadziesiąt lat odległej epoki. Kreacja ta ujęta zupełnie groteskowo, nie mieści się w ramach sztuki. Woźniakówna jest trochę egzaltowana, wprowadzać ma pewien element humoru, nie musi być zrobiona na straszydło (chylę czoła przed bohaterstwem przystojnych aktorek robiących z siebie straszydła dla dobra sztuki — ale w tej sztuce — niepotrzebna była ta maskarada). Postać Woźniakówny, to nieporozumienie.

Z postaci uczniów na uwagę zasługują Leszek Biernacki (J. Kowal), Kazimierz Wójcik (St. Kędzierski), Hanka Dobrzańska (E. Bartnik). Szczególnie Biernacki kreowany przez Kowala wzrusza prawdą przeżycia, młodzieńczym buntem — ciekawa i ładna postać sceniczna. Zwrócić należy uwagę na młodego debiutanta St. Kędzierskiego w roli Kazimierza Wójcika. Kędzierski głęboko przeżywa swą rolę, jest wzruszający w bezpośredniości oddawania każdej kwestii brak mu jednak pewnej samokontroli nad ruchem i gestem scenicznym. Jeśli idzie o Wójcika-ojca (M. Słupnicki) zauważyć należy, że postać ta aczkolwiek skupia na sobie elementy satyry, nie została stworzona po to, by bawić publiczność. Z kreacją Wójcika w ujęciu E. Słupnickiego trudno się pogodzić. Wójcikowa L. Bocheńskiej nie posiada w sobie ciepła serdeczności macierzyńskiej, sylwetka na ogół słabo zarysowana. (Uwaga na marginesie: jeśli niepalący aktor ma palić na scenie papierosy musi ten kunszt opanować — kobieta winna to robić ze szczególnym wdziękiem).

Braki przedstawienia, to kilka mniej trafnie i dokład nie odczytanych postaci, zalety — szereg dobrych kreacji aktorskich.

„MATURZYŚCI" uzyskali zgraną ze sztuką oprawę scenograficzną (inż. W. Geneji). Ładny jest pokój nauczycielski, dobrze oddaje mieszczańską atmosferę domu Wójcików — bardzo mieszczańska jadalnia.

Sztukę trzeba obejrzeć, przemyśleć, przedyskutować, należałoby zorganizować dyskusję nad sztuką Skowrońskiego dla pedagogów i wychowawców.

IRENA PITULANKA

Na wystawie plastyki rzeszowskiej

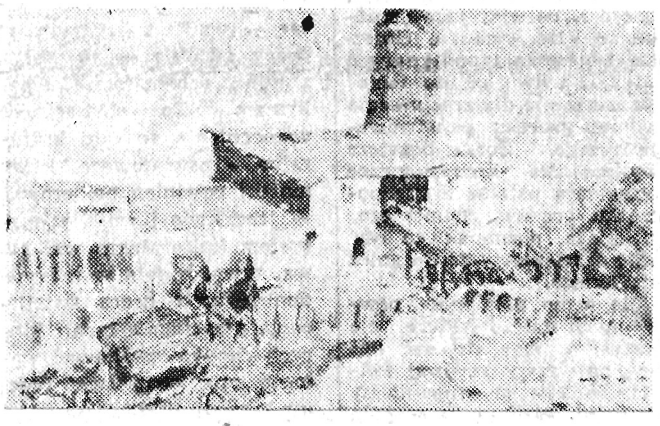

J. WILKOŃ. „Cementownia". (Olej).

„Wizerunki sprzed stulecia"

„Wizerunki sprzed stulecia" taki tytuł nosi najnowsza praca Mariana Tyrowicza, wydana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Już sam tytuł książki wskazuje, że autor jako znawca XIX wieku a zwłaszcza ruchów rewolucyjno - społecznych, zajął się działaczami z tego okresu. I rzeczywiście; podtytuł głosi „Fragmenty biograficzne rewolucyjnych dziejów Ziemi Krakowskiej 1815—1846".

Autor daje obraz rewolucyjnych ruchów i przygotowań do zbrojnego wystąpienia na terenie całej Polski, którą to akcję przygotowuje bardzo liczna rzesza działaczy rewolucyjnych. Autor zajął się dziesięcioma postaciami najczynniejszych działaczy, których można by nazwać pionierami ruchu narodowo - społeczno - wyzwoleńczego w pierwszej połowie XIX wieku. Kraków, stolica republiki krakowskiej jest jedynym centrum tego ruchu.

Autor przedstawiając sylwetki przywódców bynajmniej nie twierdzi, że to oni byli właśnie twórcami nastroju rewolucyjnego. Owszem, w przedmowie podkreśla: **„...nie ludzie ci rodzili prądy społeczne, ale prądy zrodziły ich myśli i ich czyny".**

Owe prądy, które w pierwszej połowie XIX wieku owładnęły niemal całą Europę, na terenie Polski bynajmniej nie wydały tylko owych dziesięciu przywódców, propagatorów, w książce Tyrowicza spotykamy ogromną ilość nazwisk pomniejszych działaczy. Poznając ich sylwetki wchodzimy w sam wir owych prądów społecznych, na które składały się pragnienia, pasja i walka mas, a więc rzemieślników, chłopów, robotników, oficjalistów, urzędników i postępowej szlachty.

Książka napisana jest żywo, obrazowo i sugestywnie. Pozwala ona wyobraźnią przenieść się w ubiegłe stulecie, poznać ludzi i prądy, które ich tworzyły.

Czy książka jest pracą historyczną w ścisłym słowa tego znaczeniu? I tak, i nie. Jest czymś więcej, aniżeli dziełem historycznym, do którego predestynują ją zadziwiające wprost opanowanie przez autora materiału historycznego odnoszącego się do przedstawionej epoki, zastosowanie metody historycznej przez uzupełnienie samego tekstu licznymi przypisami źródłowymi, posłowiem bibliograficznym, bardzo bogatym indeksem osobowym i rzeczowym: książka Tyrowicza jest tak interesująca jak z pasją napisana powieść historyczna. Zespoliły się w tej pracy rozległa, rzetelna wiedza historyczna i żywe, barwne jej przedstawienie.

Szkice biograficzne narysowane przez Tyrowicza są przekonywające. Po ich przeczytaniu, najczęściej zaś w czasie czytania człowiek przerywa je niemal odruchowo i wyszukuje odpowiednią rycinę, wpatrując się w podobiznę, przedstawiającą tego czy innego działacza. Obecność rycin bardzo ożywia i tak już interesującą książkę.

Wspomniano już, że mimo zawężającego podtytułu, „akcja" toczy się w całej Polsce, bynajmniej nie omijając i rzeszowskiego. Przypomina się ono czytelnikowi raz po raz to jakąś miejscowością na jej terenie, to postacią z nią związaną, a nawet rozgrywającymi się tutaj wydarzeniami. Toteż książką niewątpliwie zainteresują się wszyscy, którzy zajmują się rewolucyjno-społeczną przeszłością Rzeszowszczyzny. Będą mogli stwierdzić, że tradycje walk narodowo i społeczno-wyzwoleńczych są na naszym terenie stare.

FR. KOTULA

Na wystawie plastyki rzeszowskiej

Młodzi plastycy: Z. Ostrowski, C. Kotowicz, R. Prokulewicz, i J. Wilkoń oglądają prace kolegów.

Bracia

Andriusza leżał na ziemi i patrzył w niebo, przeświecające bladym błękitem poprzez źdźbła owsa wiszące mu tuż nad głową.

Upał zelżał nieco. Sierpniowe słońce nie doskwierało już tak uporczywie. Przedwieczorna mgiełka układała się w zagłębieniach zielonej kotliny otaczającej strome wzgórze, pokryte tu i tam krzewami jeżyn i dzikiej róży. Gdzieś niedaleko słychać było to ludzkie głosy, to skrzyp wiejskich furmanek trzeszczących pod ciężarem pszennych snopów.

Andriusza poruszył się lekko i syknął. Uczuł dojmujący ból w karku i ramionach, zesztywniałych od wielogodzinnego leżenia bez ruchu. W dołku zaczęło go znowu coś skręcać niemiłosiernie, gardło miał suche jakby zasypane piaskiem, głowę ciężką, pełną dziwnego szumu, a serce kołatało mu niepokojąco. Kiedyż to właściwie zjadł ostatni kęs chleba? Zdaje się wczoraj... tak. Wczoraj nad ranem. Żeby chociaż trochę wody... Do wieczora jeszcze daleko. Może nawet nie tak bardzo, ale człowiekowi głodnemu i spragnionemu wszystko wydaje się dalekie — jakby na drugiej planecie. Andriusza ujrzał teraz jak przez mgłę odległy Krym i swój dom rodzinny nieopodal Sewastopola, trafem ocalały w nieopisanej burzy wojennej. A mama? Gdyby tu była, miałby i wodę i chleb. „Mileńkaja maja" — pomyślał i poruszył spieczonymi wargami jak małe chore dziecko. Przymknął powieki. Cóż miał za sobą? Bój zażarty w obronie swojej ziemi, potem straszną niewolę, obóz i ten transport jeniecki wśród żywych i umarłych, wiezionych w zamkniętych wagonach gdzieś na zachód, w męce i poniżeniu.

A przed sobą? Uciekł z transportu i on i jego dwu towarzyszy. Nikifor i Timka. Po całonocnej wędrówce lasami znaleźli się w jakiejś wsi. Jakże to ona się nazywała? Aha, Szebnie... Ale pokazało się, że trzeba stąd iść dalej. Aż do Bączala. Tak, do Bączala przez Osobnicę. Poszli we trzech. Dniem leżeli wśród gęstych chaszczy podleśnych, nocą ruszali ku południowemu zachodowi.

Szli ostrożnie i cicho, w nieustannym napięciu nerwów, w każdej sekundzie czujni, gotowi do śmiertelnej obrony swej osobistej wolności, uzyskanej dopiero co przed paru dniami.

I nagle wczoraj o brzasku gdzieś się pogubili. W pewnej chwili na skraju lasu Nikifor zahukał ostrzegawczo, za nim powtórzył ten sygnał Timka i już było po wszystkim. Ni znaku ni śladu. Andriusza podbiegł kilkadziesiąt kroków, lecz w szarości tego poranka nie dostrzegł swych druhów. Zapadł jeden z drugim jak kamień w wodę. I nim Andriusza zdołał ochłonąć, rozległy się pojedyncze strzały. W mgnieniu oka ujrzał na polnej drodze kilku ludzi. Nie było daleko, jakieś dwieście metrów. „Germańcy, sukinsyny" — przemknęło mu przez mózg. Błyskawicznie zawrócił z miejsca, buchnął w las i nie zważając na nic biegł poprzez doły, krzaki i wystające korzenie.

Opamiętał się po kilkunastu minutach, gdy nagle las się urwał. Przed Andriuszą rozciągała się szeroka polana, cicha, srebrna od rosy, pachnąca leśnymi ziołami. Przypadł na jej skraju i poczołgał się wśród mokrej trawy ze zwinnością jaszczurki. Co kilka sekund wynurzał z gęstwy czarną głowę, obliczywał wzrokiem pole widzenia, po czym znowu dawał nura w zieleń.

Za chwilę sadził ogromnymi susami na ukos przez drogę, potem przez stajanie ziemniaków i wpadł w zagon owsa. Tu przykucnął, znów wynurzył głowę, rozglądnął się i teraz wolniutko już, by nie zostawić najmniejszego śladu za sobą, wpełzł na środek pola. Ostrożnie ułożył się i odetchnął głęboko.

— Czorta siedziat, pokamienia najdut — błysnął zębami w uśmiechu.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął niedojedzony kawałek ciemnego chleba i zżuł go z całą dokładnością do ostatniej okruszyny. „Mało" — pomyślał, lecz w tej sekundzie zadrżał i przywarł mocno całym ciałem do ziemi. Posłyszał jakieś dalekie głosy, potem znowu strzały i rozeznał po echu, że tropiciele są już pod lasem, z którego on przed kilku minutami uciekł.

— Szukajcie, swołocz — syknął ze złością.

Serce waliło mu jak młot. Nasłuchiwał jeszcze dość długo, lecz nie zdołał już ułowić żadnego dźwięku. Uspokoił się całkiem i zarazem doznał takiej samej niepohamowanej radości jak wówczas, gdy spadłszy z nasypu kolejowego leżał wśród nocy samotny i pełen najszczęśliwszej nadziei na tej nieznanej mu ziemi.

— Przyjdzie tu do nocy tkwić — westchnął. — Cóż poczniesz? No, nic. Nikifor i Timka też pewnie gdzieś są niedaleko.

Lecz Andriusza pomylił się w swych optymistycznych rachubach i oto już drugi dzień się kończył, a on nie mógł się ruszyć z tego owsianego pola. Ani w nocy na wet. Jakiś niepokój panował wokoło. Andriusza słyszał na szczekiwania psów — widocznie gdzieś tu niedaleko była wioska — wyczuwał raczej niż słyszał jakieś kroki, czasem niby ludzkie głosy. No i niesposób było ruszyć się stąd. Czort wie, czy za pierwszą lepszą miedzą nie czai się jaki esesman lub granatowy drab... I co wtedy? Jak już trzeba ginąć, to mądrze. Ale tak tu w polu dostać w głowę lub w serce kawałek żelaza? Teraz? Nie! Przecież w tych Szebniach wyraźnie mówili polscy robotnicy: iść na południowy zachód, na Osobnicę. A potem do tego tam Bączala, do partyzantów Armii Ludowej. Tam siedzi dowództwo obwodu jasielsko-gorlickiego.

— Czort woźmi — zaklął w duchu Andriusza. — Żeby choć w konia zamienić się, można by teraz mieć jakiś cel istnienia na tym owsianym polu.

Ale ten okolicznościowy żart nie poprawił Andriuszy humoru. Uczuł dreszcze. Postanowił ruszyć się stąd, gdy zapadnie noc. Tymczasem jednak zmienił pozycję i przewrócił się na bok.

Nagle usłyszał raz i drugi: „psst! psst!". Ani drgnął. Timka? Nikifor? Nie. Każdy z nich zahukałby jak sowa.

— Psst, pssf, psst.

Nic. Cisza.

— A wyłaźże z tego owsa. Nie bój się...

Andriusza skoczył na równe nogi. W gęstniejącym mroku dostrzegł sylwetkę wysokiego mężczyzny.

— Kto ty? — szepnął gorączkowo.

— Swój — padła spokojna odpowiedź.

Andriusza w dwu susach znalazł się na miedzy. Zajrzeli sobie w płonące oczy.

— Jestem Jan Majcher z Osobnicy. Komunista. Partyzant „Walek".

— A ja Andriu...

— Wiem — przerwał półgłosem tamten — chodź szybko. Czekają na ciebie.

— A ty jak mnie znalazł? — zapytał po chwili Andriusza.

— Zwyczajnie. Widziałem wszystko wczoraj nad ranem...

Szli wąską ścieżką w stronę starej chaty bielejącej na owym stromym wzgórzu za wsią.

— Walek, ty mój druh — szepnął miękko Andriusza.

— Tyś nasz brat — usłyszał w odpowiedzi, jak odzew na serdeczne hasło.

Na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy.

MARIA WOLAŃSKA

EDMUND GAJEWSKI

»WIATR NAD RZESZOWEM«

Do czasu w naszym świecie artystycznym działo się dobrze, przykładnie bez awantur i kłótni, a teraz dobrze wychowany, szanujący się mieszczuch zmuszony jest się gorszyć.

No bo posłuchajcie: Przedtem, gdy któryś z malarzy „popełnił" tak zwany obraz, poczekał aż uczyni to drugi kolega, no i społeczeństwo — jeśli ktoś zechciał się pofatygować do Łańcuta — miało możność oglądać raz do roku czasem raz na dwa lata wystawę prac plastyków rzeszowskich. Po prawdzie trzeba przyznać, że ten skromny nurt życia plastycznego naszego województwa nie był jedyny. O wiele bujniej i piękniej rozwijał się ten drugi nazwijmy go „malarstwem ściennym".

Rzeszowianie pamiętają taki rok urodzaju, kiedy ni stąd ni zowąd, na rzeszowskim bruku wyrosła niczym grzyby po deszczu cała plejada domorosłych plastyków, których twórcza pasja znalazła ujście na murach miasta. Stało się to podobno gwoli podniesienia kultury plastycznej mieszkańców naszego, niegdyś zacofanego województwa.

W 1955 r. zaszły jednak pewne przewidziane wypadki. STANISŁAW WITOWSKI, malarz i dziennikarz w jednej osobie. Złośliwi twierdzą, że najlepszy malarz wśród dziennikarzy, najlepszy dziennikarz wśród malarzy, „kropnął sobie" tym razem nie pejzaż naftowy, ale artykuł dyskusyjny do „Nowin Tygodnia" o sytuacji w plastyce rzeszowskiej. Zapewniam uczciwym słowem, że winien jest właśnie Witowski, który rozpętał awanturę na łamach gazety, a potem...

Nie uprzedzajmy faktów.

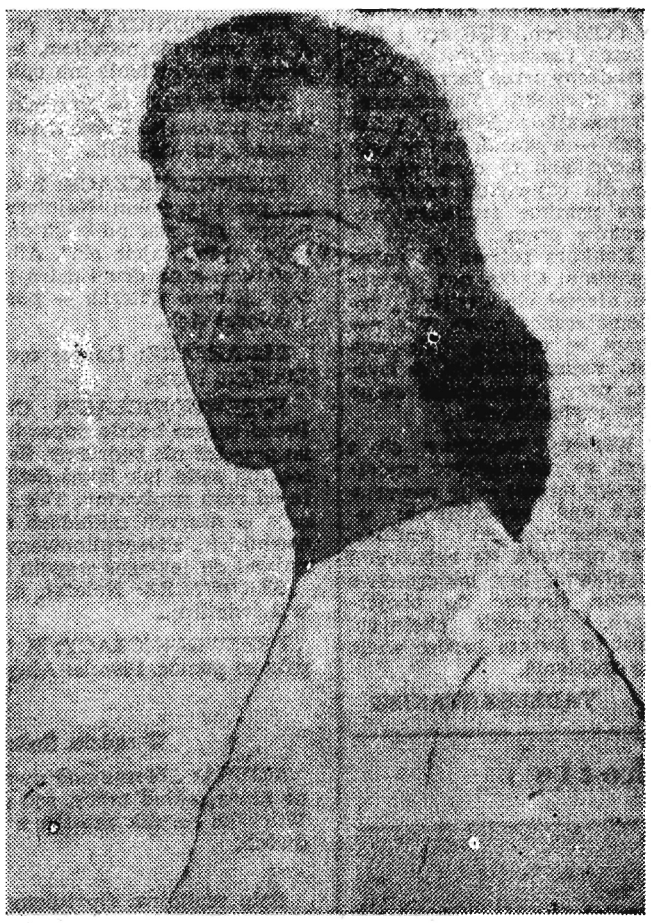

ROMAN PROKULEWICZ. „Portret Chilijki". (Olej).

MIROSŁAW KIJOWICZ. „Drzewa". (Rysunek tuszem).

Dziwowali się stateczni dziennikarze, kiedy dwa miesiące temu rozpoczął się nieznany w dziejach redakcji najazd młodych plastyków.

Co za czasy? Też mi cyganeria, bez peleryn, jeden na dziesięciu imponował nieładem artystycznych włosów, poniektóry to nawet łysy, a pyskate aż strach!

Najpierw **Witowski i „młodzi"** kłócili się ze **„starymi"** plastykami. Potem młodzi z młodymi, jeszcze później Witowski z młodymi. W końcu wszyscy razem.

O zgrozo! — zatrwożyli się dziennikarze kto zagwarantuje im jaki taki spokój i ciszę do pracy, bo cała ta artystyczna brać zadomowiła się w Dziale Kulturalnym i gardłowała na całą redakcję od rana do wieczora. Na szczęście gdy ten i ów zaczął znosić do redakcji jakieś tam płótna, piorunowania ustały. Przedsiębiorcze bractwo przeniosło się do świetlicy, gdzie urządziło sobie magazyn różnych landszaftów. Owoce tej „hecy" — to Wystawa Plastyki Ziemi Rzeszowskiej.

Może kogoś razić takie niepoważne przedstawienie historii powstania wystawy plastyków rzeszowskich. Nie czuję się jednak winny. Sentyment jakim darzę tę brać, kąpaną w gorącej wodzie — aby tak dalej było — nie pozwala wypowiedzieć mi się w innej formie. Uważałem, że nie zawadzi tym wstępem poprzedzić kilka bardzo subiektywnych uwag o niektórych pracach i zagadnieniach, które wyłoniła wystawa w Muzeum Okręgowym.

* * *

Leży przede mną zeszyt zawierający uwagi zwiedzających. Cóż to za pasjonująca i ciekawa lektura, jakże skrajnie biegunowe sądy:

— **„Wystawa ciekawa, najlepsza grafika".**

— **„Wystawa bardzo słaba".**

— **„W Wystawie widać postęp, nie wszystko zrozumiałe dla ludzi prostych. Należy sztukę spopularyzować dla ogólnego zrozumienia".** A poniżej taka „złota myśl":

— **„Człowiek prosty" — nie znaczy prostak".**

Zastanawiające! Ktoś bardzo skromny „człowiek prosty" stwierdza, że nie wszystkie prace na wystawie są dla niego dostępne i dlatego domaga się popularyzacji sztuki. Ktoś drugi, nie bez poczucia humoru, ale chyba złośliwie ładuje mu szpilę; e, braciszku, nie taki ty prosty — tylko prostak. Jedno z dwojga. Któryś z nich napisał prawdę. Paradoks polega na tym, że obaj.

Tak! — człowiek prosty bez wątpienia nie jest prostakiem. Nie mam jednak złudzeń, że sentencja ta skierowana została pod fałszywym adresem. Nie o adres jednak chodzi.

Uwagi zwiedzających, ich wrażenia, dyskusja, która miała miejsce nad pracami naszych plastyków, wyłoniła wydaje mi się bardzo zasadniczy problem; rozdźwięk między twórcą a odbiorcą. Są głosy, które usiłują sugerować, że istnieje cała przepaść, są uogólnienia, że wina leży tylko po stronie plastyków „malujących niezrozumiale". Zastanówmy się, czy takie uproszczenie sprawy nie byłoby lenistwem umysłowym, postawieniem zagadnienia na głowie.

W latach międzywojennego dwudziestolecia robotnik w najlepszym razie i niestety — co było najgorsze — kupował różne wersje olejodruków, kiepskie reprodukcje bezimiennych twórców, chłop poza tuzinkowymi dewocjonaliami pozbawionych wartości artystycznych nie kupował obrazów, syty mieszczuch nie grzeszył dobrym smakiem artystycznym, kupował obrazy, które pomagały mu w dobrym trawieniu. Sztuka była monopolem elity.

Sądzicie, że bakcyle tej artystycznej tandety, która wypaczała smak społeczeństwa zostały całkowicie zniszczone. Nie jestem takim optymistą. Jestem pewny, że wielu wśród tych, którzy nie rozumieją tego czy innego obrazu to właśnie ludzie zarażeni tym bakcylem, wielbiciele Mniszkówny w malarstwie. Kolorowa konwencjonalna fotografia, byle cukierkowa w kolorze, zachwyci powiedzmy sobie szczerze takiego „analfabetę". Nie sądzę, że jest to wina tylko plastyków. Odpowiedzialność za to ponosi również aktyw kulturalny, którego kultura plastyczna daleka jest od szczytów.

To jest — powiedzmy sobie, by nie było banalnie — jedna strona obrazu. A druga?

Wystawa Plastyki Ziemi Rzeszowskiej w Muzeum Okręgowym wywołała duże zainteresowanie wśród społeczeństwa, mówi się o niej nie tylko w granicach naszego województwa i mówi się, nie bez entuzjazmu.

Byłem na Wystawie kilkakrotnie i wydaje mi się, że nie ma powodów do żalu, że wielu spośród plastyków, zwłaszcza młodszego pokolenia zerwało z akademickim lakiernictwem, dochodząc do przekonania, że sztuczne kultywowanie konwencji malarskiej prowadzi do fałszu w wymowie politycznej i artystycznej dzieła sztuki. Przekładając to na język ludzki prace młodych są w wielu wypadkach protestem przeciw trącącej myszką naturalistycznej tandecie, której poprzez domalowywanie realiów naszego współczesnego życia usiłowano przykleić etykietkę realizmu socjalistycznego. Przejdźmy jednak do pewnych objawów schorzeń, które można dostrzec wśród prac plastyków na wystawie. Bez wątpienia to one w dużej mierze są przyczyną poważnych rozdźwięków między twórcą a społeczeństwem.

No bo cóż, człowiek o zdrowych nerwach powie sobie:

—No proszę, jaki filut z tego mistrza: Zamówiłem portret a ten zrobił mnie na zielono (popularnie mówi się na szaro). Powiesiłem portrecik nad biblioteką — to dodaje powagi i dumam przeglądając się raz po raz w lustrze.

— Jestem, czy nie jestem taki zielony? Jestem czy nie jestem topielcem? Gęba moja — na portrecie — nic nie mówi!

— Do cholery, jestem żywym człowiekiem i darujcie, portret strzaskałem na głowie mistrza.

Pomówmy jednak poważnie, żarty na bok. Paryska starzyzna, bełkot martwych form nie może przekonywać odbiorcy, gdyby był nawet wyrazem myśli. Artyście wolno wzbogacać formy. Powinien korzystać ze zdobyczy naukowych z zakresu zestawień kolorów i światła, ale to nie może być celem dla siebie, bezmyślnym, często pozbawionym pierwiastków emocjonalnych spekulacyjnym naśladownictwem. Bo jakże nazwać, gdy artysta sobie stawia jako cel, że będzie zestawiał barwy w szarych kolorach, bo tak robił wielki malarz francuski Utrillo. Sądzę, że nie dzięki takiemu „małpowaniu" malarstwo Gutussa zyskało sobie zaszczytną nazwę nowatorskiego — współczesnego. Dlaczego tak bardzo zwracam uwagę na te sprawy? **Bo sądzę, że właśnie te przesłanki i założenia w dużej mierze zubożyły prace plastyków tematycznie, utrudniały autorom ukazać nowe socjalistyczne treści.** Te przydługie wywody proszą się o konkretniejsze poparcie. Weźmy na pierwszy ogień pejzaże **Zdzisława Ostrowskiego.**

Gdy patrzę na „Pejzaż znad Wisłoka" trudno mi jakoś nie poddać się myśli, że mógłby on tak samo dobrze być pejzażem znad Sekwany (Cezanne zrobiłby to zapewne lepiej). Czymże jeśli nie dziwactwem trzeba nazwać takie zestawienie kolorów, jak w drugim pejzażu, gdzie krwista czerwień ulicy sąsiaduje z pomarańczowym niebem. Chyba takie eksperymenty niekoniecznie trzeba pokazywać gdy ignoruje się to, co jest ważniejsze od zewnętrznych domniemanych wrażeń. Nie mogę również patrzeć bez sprzeciwu na zestawienie jaskrawo-zielonych barw podlanych atramentowym sosem, które mają wyobrażać cienie w obrazach **Edwarda Kiferlinga** mimo ich dobrego rysunku. Najwyżej postawiłbym obraz przedstawiający „Szyb naftowy" (olej), w którym jest dużo szczerości. Natomiast autoportret w swym ujęciu kompozycyjnym przypomina mi — autoportret Van Gogha.

Niektórzy z malarzy biorący udział w wystawie popadli w rutynę liliowo-błękitnych i pomarańczowych refleksów. Wrażenia ich przekształciły się w tęczowe barwy z kropek i kresek o zabielonych tonach np. „Dziewczynka w futrze" (olej) **Stanisława Szmuca.**

Do rozważań zachęcają interesujące prace **Józefa Wilkonia i Romana Prokulewicza.** Obrazy olejne **Wilkonia** przemawiają bogactwem zestawień kolorystycznych nie pozbawionych impresjonistycznej żywiołowości „Wiosna" (olej). W grafice **Wilkoń** odrzuca zużyte i konwencjonalne style i usiłuje swój stosunek do otaczających go zjawisk — do natury przekazać w formie wyobrażeniowo-intelektualnej.

Śmiałość i szczerość poszukiwania nowych środków artystycznego wyrazu bezsprzecznie jest charakterystyczna dla prac **Prokulewicza.** Gdy w temperze „Martwa natura" artysta nie może uwolnić się od wpływu Braqe'a, to w „Portrecie Chilijki" Prokulewiczowi chodzi o wypracowanie poprzez skróty myślowe środków, za pomocą których malarstwo sztalugowe oddziaływałoby tak jak plakat. Może się komuś ten portret nie podobać, ale trudno mi uwierzyć, że można koło niego przejść obojętnie.

ALEKSANDER KORNIJASZ „Więźniowie". (Drzeworyt).

IRENA PERKOWSKA. „Kobieta z dzbanem". (Olej).

Zapoznając się z pracami na wystawie, warto zatrzymać się dłużej przy portrecie **Ireny Perkowskiej** „Kobieta z dzbanem" (olej). W obrazie tym nie znajdziemy niedostatków rysunkowych, zachwyca nas pięknem kompozycji, prawdą artystycznej przenośni, która głęboko wzrusza.

Można by szerzej pomówić jeszcze o wielu pracach np. **Mariana Ziemskiego** (pejzaże) bardzo ładne zwłaszcza „Zwózka siana" (olej) bliski jakiś nastrojowi twórczości Gierymskiego, niestety znalazł chętnego amatora i wraz z nim „ulotnił się" z wystawy. Można również mówić o dojrzałym talencie kompozycyjnym **Zdzisława Korelewskiego,** o „Pejzażu z Sędziszowa" **Renaty Niemirskiej — Pisarek,** o malarstwie **J. Dzięgielewiczowej i Zb. Krygowskiego** (wpływ post-impresjonizmu). Chciałbym jednak zatrzymać się krótko nad grafiką, która w przeciwieństwie do malarstwa wykazuje większe związanie z wymogami rzeszywistości.

W rozważaniach tych nie wspomniałem o pracach **Marii Gabryel-Rużyckiej,** laureatki Nagrody Twórczej WRN I stopnia. Rużycka celuje przede wszystkim w drzeworycie charakteryzującym się precyzją wykonania, subtelnością kolorystyczną. Czytelnicy mieli możność oglądać reprodukcje tych drzeworytów w „Nowinach Tygodnia". Na uwagę zasługują szczególnie: „Praca przy drzewie" (w założeniach plastycznych współcześniejsza od innych) oraz „Chłopcy ślepego zaułka" i „Lekcja polskiego". Silnie przemówiły do mnie rysunki **Alfreda Kuda,** który bardzo syntetycznie określa formę, zwłaszcza „Za wózkiem" i „Przed sklepem". Szkoda, że siłę oddziaływania tego drzeworytu osłabia nieco nie związany z całą kompozycją napis na witrynie sklepu. Sugestywne są drzeworyty **Aleksandra Kornijasza.** Najciekawsze „Więźniowie" i „Czytający" (umiejętne operowanie walorami). Kornijasz jest również autorem próby drzeworytu barwnego. Urzekającym nastrojem i pięknym operowaniem światła ujmują rysunki tuszem **Cezarego Kotowicza.** Natomiast miałbym zastrzeżenia do „Portretu malarki" (olej), w którym kolor nie został zróżnicowany (tło i włosy — „brudna" spódnica) Jeszcze dwa słowa o grafice **Prokulewicza** (monotypie) „Z cyklu nędza" „Więzień Oświęcimia". Silne w wyrazie, proste w środkach przemawiają chyba nie tylko do tych co znają hitlerowskie obozy!

Świadomie nie zająłem się pracami scenograficznymi **Zdzisława Korelewskiego, Ireny Perkowskiej,** którym należy się osobna recenzja

Otóż i kres tych wrażeń i rozważań. Może nie wszystkich przekonałem, ale sądzę, że warto się „kłócić" byle dyskusja nie była mistyczna i dlatego oddaję głos czytelnikom.

A CO Z CZYTELNICTWEM NA WSI?

Na zebranie organizacyjne Konkursu Czytelniczego w Zdarzycach Dolnych przybyło około 40 osób. Mało, ale i tak dobrze, bo Zdarzyce, to gromada trudna, jedna z najmniej uspołecznionych w powiecie, opanowana przez sporą klikę kumotrów, która hamuje każdą akcję, zmierzającą do przemian gospodarczo-kulturalnych.

Referent kulturalno-oświatowy Powiatowego Zarządu ZSCh ob. Balicka, wytłumaczyła zebranym, co to jest konkurs czytelniczy i jakie ma znaczenie dla rozwoju czytelnictwa, podniesienia kulturalnego i uświadomienia społecznego mas chłopskich. Udało jej się przekonać, a nawet porwać słuchaczy i kiedy przystąpiono do organizowania zespołu czytelniczego, sprawa ruszyła gładko, większość obecnych zgłosiła się do uczestnictwa w konkursie.

Zespół podzielono na 3 grupy i wybrano grupowych. Prowadzenie grupy pierwszej, w środkowej części wsi, powierzono żonie kowala, ob. Piwnickiej, jako jednej z najbardziej oczytanych i wykształconych — ukończyła 6 klas gimnazjum. Grupę drugą oddano pod opiekę Rucińskiego, byłego prezesa ZSCh, mającego ustaloną opinię działacza i człowieka oczytanego. Grupę trzecią miał prowadzić Mąciło, człowiek mało czytający, ale za to wzorowy gospodarz, przodownik pracy, wywiązujący się z dostaw zboża, mleka i mięsa ponad plan. Mnie też wciągnięto do organizowania konkursu. Do moich obowiązków należało dostarczanie książek poszczególnym grupom, pouczanie grupowych, organizowanie wieczorów głośnego czytania, słowem kierowanie całością konkursu w gromadzie, liczącej około tysiąca dwustu mieszkańców.

W pierwszych dniach grudnia zabrałem się do roboty... Już w pierwszych dniach akcja konkursowa napotkała na pewne trudności. Piwnicka wycofała się z akcji. Na moje zapytanie — dlaczego? — nie dała wyraźnej odpowiedzi.

— Nie mam czasu, niech kto inny się tym zajmie.

Drugi grupowy, Mąciło, też zawiódł... Gdy oznajmiłem Mącile, że już mam książki dla jego grupy, zrobił wielkie oczy:

— Co, jak? Czy ja mam czas zajmować się takimi głupstwami? Idź pan do nauczycielki Krymskiej, ona akurat do tego pasuje.

Zawiódł również Gorczakowski, który w zastępstwie Piwnickiej miał prowadzić grupę pierwszą. Jakże inaczej poszło u Rucińskiego..."

• • •

A cóż to za historia—czy ja kieś sprawozdanie, zapytasz zdziwiony czytelniku, jeżeli zdołałeś dobrnąć do tego miejsca.

To nie sprawozdanie — ale fragment dłuższego opowiadania Henryka Worcella, opartego niewątpliwie na autentycznych faktach pt. **„Zimowy zasiew"**. Kto ciekawy, przeczyta sobie dalszy ciąg, a dowie się, czy w Zdarzycach konkurs czytelniczy utonął w powszechnej obojętności, czy też udało się tam pokonać wspomniane trudności. A gdzie są Zdarzyce? Zdarzyć się mogą w każdym województwie.

Spróbujmy teraz podać parę wniosków:

Czy trzy, cztery lata temu pisał ktoś w tej formie o czytelnictwie, o konkursie czytelniczym? A teraz znajdzie się może i więcej takich materiałów.

Dalej: Lakieru nie ma w tym opowiadaniu ani na lekarstwo, przeciwnie trudności nie brak. Ale czy te trudności nie są do zwalczenia?

Dalej: Czy nie warto porównać doświadczeń z własnego środowiska z opowiadaniem książkowym?

Wreszcie: mamy już za sobą kilka zim konkursowych obecnie stoimy znowu w przededniu pełnego „sezonu" czytelniczego na wsi.

Z jakimi doświadczeniami wchodzimy do tegorocznego konkursu czytelników wiejskich?

Otóż niewątpliwie warto utrzymać i rozwinąć zasadę współzawodnictwa między gromadami; dało to w roku ubiegłym dobre wyniki. Proporce przechodnie, wręczone przodującym w powiecie gromadom, były na zlotach powiatowych przedmiotem prawdziwego podziwu.

Druga sprawa — to zasada podejmowania zobowiązań na ogólnych zebraniach gromadzkich oczywiście pod warunkiem starannego ich przygotowania. Na tym tle popełniono w roku ubiegłym wiele błędów. Zdarzało się, że traktowanie takie zebrania formalnie: paru aktywistów podpisywało zobowiązania bez zaznajomienia z tą sprawą przynajmniej części mieszkańców wsi. Tego błędu trzeba unikać.

Zebranie w sprawie czytelnictwa musi być pod każdym względem przygotowane. Tak było niedawno w Moszczanicy, w powiecie gorlickim. Ta duża wieś nie zaznaczyła się dotąd specjalnie w ciągu kilku konkursów czytelniczych. Tym razem zjawiło się na zebraniu ponad 200 osób, w tym cała trzynastka uczących się w tej wsi nauczycieli. Oczywiście na frekwencję wpłynął i atrakcyjny program artystyczny. Padły zobowiązania zupełnie realne, możliwe do osiągnięcia, dotyczące powstania zespołów czytelniczych, samokształcenia rolniczego i wzrostu czytelników indywidualnych.

Kto ma takie zebranie zwołać, kto ma dać inicjatywę? Nie ma na to recepty. Ale trzeba, by gromadzkie rady narodowe czuły się w coraz większym stopniu gospodarzami swego terenu w sprawach kulturalno-oświatowych, podobnie jak czują się nimi w sprawach gospodarczych. Dużą tu rolę mogą odegrać gromadzkie komisje oświaty, kultury i zdrowia, jeżeli wezmą w swe ręce opiekę nad konkursem. Kto należy do tych komisji? Przede wszystkim nauczyciel, a także aktywista ZMP, ZSCh, Powszechnej Organizacji „Służba Polsce", kierownik biblioteki i świetlicy. Jest rzeczą jasną, że tylko wspólny wysiłek tych aktywistów może dać pożądane rezultaty.

Ważną sprawą będzie zwrócenie uwagi nie tylko na wsie, gdzie czytelnictwo stoi dobrze, ale również na wsie zaniedbane, leżące na uboczu od zwykłych, dostępnych szlaków komunikacyjnych.

Nie ulega wątpliwości, że dyrektywy IV Plenum wymagają zwrócenia szczególniejszej uwagi na samokształcenie rolnicze, na powiązanie lektury z potrzebami gospodarczymi wsi. To są rzeczy oczywiste.

Zastępy aktywistów kulturalno-oświatowych rosną z roku na rok. Niedawno odbyty zjazd przodowników i organizatorów czytelnictwa w POM-ach, PGR-ach i Rejonach Lasów Państwowych, urządzony przez Zarząd Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Rolnych i Leśnych — wykazał, że i w tych placówkach są czynione próby dla ożywienia czytelnictwa pomimo trudnych warunków pracy.

Konkurs potrwa do końca kwietnia. Czeka nas pół roku niemałych wysiłków, systematycznej pracy. Nie poskąpi jej ofiarne, jak zawsze, nauczycielstwo, zwłaszcza przy prowadzeniu zespołów czytelniczych.

Wszyscy zgodzimy się z tym, że podniesienie czytelnictwa na wsi — to poważny krok nad prawdziwym upowszechnieniem kultury. Bez upajania się cyfrowymi wynikami, bez lakiernictwa trzeba sięgnąć do obojętnych, pobudzić chętnych. Jest tu jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

TADEUSZ STANISZ

W kołchozie

Proszę mi podać teczkę. Zobaczę jaki mam zapas paszy.

.....?

według „Krokodyla"

Z teki satyry

Człowiek ma serce

(Historyjka dydaktyczna w III obrazach)

I

Pokój rady zakładowej. Dwa biurka. Przy jednym przewodniczący, przy drugim sekretarz.

PRZEWODNICZĄCY: *(otwierając urzędową kopertę)* — A co, może nie mówiłem, że ten Witczak źle skończy? Sąd prosi o wystawienie mu opinii. Pewnie go przymknęli.

SEKRETARZ: — Przymknęli, przymknęli. Zrobił awanturę w tramwaju. Pobił konduktorkę i wyrzucił ją w biegu z wagonu, hi—hi—hi!...

PRZEWODNICZĄCY: Z czego tu się śmiać? A ja go zawsze przestrzegałem. Najpierw zaczął się spóźniać do pracy, potem opuszczać po kilka dni, a ja mu zawsze: „Kolego Witczak, opamiętajcie się". Albo jak zdemolował po pijanemu świetlicę, a na drugi dzień pobił bufetową w stołówce, to ja też: „Kolego Witczak — powiadam — opamiętajcie się". No, i doigrał się!...

SEKRETARZ: Dobrze mu tak. Wszystkim już obrzydł. Chuligan i tyle.

PRZEWODNICZĄCY: Chuligan, pewnie, ale i człowiek. Przed sądem będzie odpowiadał. Wyrok dostanie... Pogrążać go przecież nie będziemy. Serce człowiek ma... Trzeba tę opinię dla sądu tak jakoś delikatnie.. Weźcie kawałek papieru to od razu napiszemy. Tak... piszcie: Stanisław Witczak pracuje w naszych zakładach od dwóch lat. Jest dobrym pracownikiem, zdyscyplinowanym, tak... Zdaje się, że on nawet należał do jakiegoś zespołu świetlicowego?

SEKRETARZ: Należał, a jakże. Właśnie wtedy zdemolował świetlicę...

PRZEWODNICZĄCY: E, to już dawno było! Trzeba chłopakowi pomóc. Piszcie: Aktywny społecznie...

II

W sądzie. Sędzia odczytuje wyrok.

SĘDZIA: ...biorąc pod uwagę nienaganną opinię wystawioną przez zakład pracy, sąd skazuje oskarżonego Stanisława Witczaka na rok aresztu z zawieszeniem kary na okres lat dwóch.

III

Sala szpitalna. Opatulony w bandaże leży na łóżku przewodniczący rady zakładowej. Przy łóżku milicjant, który spisuje zeznanie.

PRZEWODNICZĄCY: *(mówi z trudem)* Spotkałem go po rozprawie i mówię: „Kolego Witczak, opamiętajcie się", a on popatrzył na mnie i pyta: „A towarzysz szanowny co się znowu czepia?" A potem jak nie trzepnie mnie w ucho, jak nie poprawi z drugiej strony. Upadłem, a on za cegłę i po głowie, po głowie. Potem to już nie pamiętam. To chuligan! Najgorszy w całym zakładzie! Najgorszy!...

Mariusz Kwiatkowski

Ciekawostki mickiewiczowskie

Odwiedziny

Po rewolucji 1848 roku zjawiło się u Mickiewicza w Paryżu dwóch dorodnych, wyelegantowanych młodzieńców.

— Skąd przyjeżdżacie? — zapytał poeta.

— Z kraju.

— Braliście zatem udział w walkach?

— Nie proszę pana, ponieważ mama powiedziała, że ma nas tylko dwóch jedynaków, więc pozwolić nie może.

Mickiewicz roześmiał się i zapytał;

— Więc po co przyjechaliście tutaj?

— Aby nauczyć się języka. A poza tym mama kazała nam koniecznie zobaczyć pana Mickiewicza.

— Więc widzieliście go już z przodu, a teraz zobaczcie jak wygląda z tyłu.

Powiedziawszy te słowa, Mickiewicz odwrócił się plecami do młodzieńców i wyszedł z pokoju.

Jak kamień w wodę...

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia dowiedział się jeden z naszych znakomitych historyków literatury i fanatyczny wielbiciel Mickiewicza, że gdzieś w zapadłej wsi na Litwie mieszka zgrzybiała staruszka, która pamięta Mickiewicza z jego lat pacholęcych.

Profesor nie namyślając się długo, wyruszył z Krakowa na Litwę, aby pomówić ze staruszką i wyciągnąć jak najwięcej od niej wspomnień o poecie.

Po długiej podróży uczony mąż dobrnął wreszcie do upragnionego celu. Babina była wyschła, pożółkła i zmarszczona, ale rześka jeszcze i obdarzona świetną pamięcią.

„Panicza Adasia" wspominała z rozrzewnieniem i opowiedziała mnóstwo historyjek o jego figlach i zabawach, a profesor wszystko skrzętnie notował. Wreszcie babina powiedziała;

— A ostatni raz panocku, widziała ja jego, jak jemu było lat może 12, a może 15. Było to w ta pora, jak Napoleon na Moskwę pochodem chodził. A potem ja jego nigdy nie widziała, ni o nim nie słyszała i nawet nie wiem, co z niego wyrosło...

Mickiewicz o ofiarności obywatelskiej

Raz mówił Mickiewicz o ofiarności i poświęceniu obywatelskim w Polsce. Po czym dodał: —... ale mieliśmy też komediantów. Wiem sam o wielkiej pani, która posiadała pudy srebra, a ofiarowała Ojczyźnie jedynie swój ślubny pierścionek, pisząc:

— ..... Składam na ołtarzu narodowym, co mam najdroższego"

Opinia pana radcy

Gdy zamierzano sprowadzić do kraju prochy Mickiewicza i ulokować je na Wawelu, w gronie krakowskich radców miejskich zastanawiano się nad wysokością kosztów, jakie pociągnie za sobą sprowadzenie prochów poety.

Wówczas jeden z radnych oświadczył;

— Przecież pan Mickiewicz umarł już tak dawno, że popioły jego muszą być lekkie i niezbyt kosztowne do przewozu ...

opracował J. K.

KĄCIK filatelistyczny

Nowe znaczki pocztowe z okazji 100 rocznicy śmierci A. Mickiewicza

Z okazji 100 rocznicy śmierci Adama Mickiewicza, Ministerstwo Łączności wydało specjalną serię znaczków pocztowych „Rok Mickiewiczowski".

Znaczek wartości 20 groszy wykonany według projektu artysty - plastyka Hanny Przeździeckiej przedstawia portret poety wg obrazu Wańkowicza.

Na znaczku 60-groszowym wykonanym według projektu artysty - plastyka Witolda Chmielewskiego widnieje maska pośmiertna Mickiewicza według rzeźby Dunikowskiego.

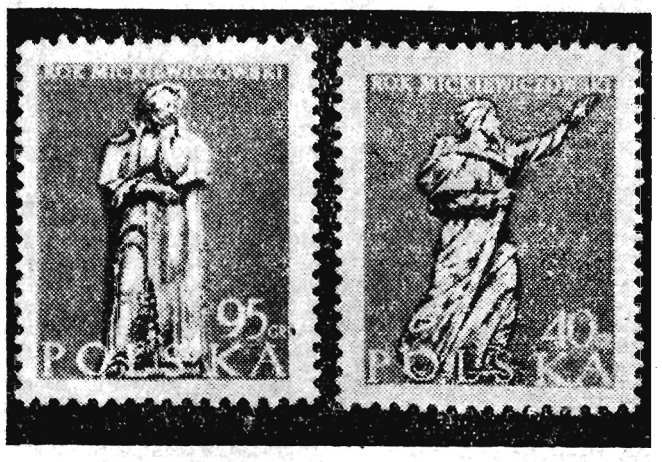

Znaczek 95 groszowy wykonany według projektu artysty-plastyka Witolda Chmielewskiego przedstawia Mickiewicza wg rzeźby P. Strynkiewicza.

Znaczek wartości 40 groszy wykonany według projektu artysty - plastyka Witolda Chmielewskiego przedstawiający pomnik poety na placu D'Alma w Paryżu.

CAF

NIE TRUDNO zgadnąć

LABIRYNT

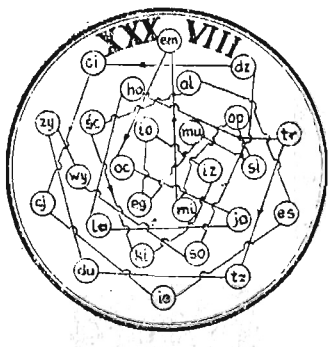

Posuwając się we wskazanym kierunku i przeskakując co pewną stałą ilość kółek, odczytać z pomieszczonych w nich liter aktualne rozwiązania. Początek do odgadnięcia.

Homonimy

I. Michaś kurczęta niepotrzebnie ....
Zaraz dostanie od matki po.....

II.

— Jakże wasza żona kumie,
Czy już dom prowadzić umie?
— Gdzie tam bracie, moja.....
Dalej o nic się nie.....!

W zagadkach tych należy uzupełnić wiersze homonimami czyli wyrazami o tym samym brzmieniu, a o różnych znaczeniach. Ilość kropek (5) odpowiada w obu zagadkach ilości liter wyrazu do odgadnięcia.

Za rozwiązanie tych zagadek przysłanych do 14 dni z dopiskiem przy adresie redakcji „Rozrywki umysłowe", przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody w postaci bonów książkowych.

Rozwiązanie Krzyżówki z Nr 36 (284) — poziomo: koran, heban, Ukraina, WFM, łój, elekcja, juror, spryt, ach, miód, huzar, tron, aga, ryba, acan, korek, raić, rym, balet, ranek, altanka, dur, dar, aneksja, tyran, radio. — Pionowo: junak (wspak), rower, numer orne, wiec, halas, bojar, nugat, kocz, uciecha, oddanie, pefarda, epizody (wspak) autor, harem, hak, ryk, Ryga, bilet, lider, taran, radar, naród, kółko, tren, Nysa.

Nagrody (bony 20 zł) — za trafne rozwiązanie zadań otrzymują: z Nr 37 (283): Jerzy Gocjan z Rzeszowa, Wojciech Markiewicz ze Stalowej Woli, Kazimierz Motyka z Rzeszowa. Z Nr 38 (284): Teresa Raczkowska z Przemyśla, Biblioteka Wiejska w Komborni, Władysław Krzemieniecki w Rzeszowie.

Nagrodę autorską za krzyżówkę z Nr 38 (284) otrzymuje Stanisław Żelazko z Chorzelowa.